

Szkółka



niedzielnia

Módl się i pracuj, a będziesz szczęśliwy.

Leszno. — *Niedziela dwudziesta ósma po Zielonych świątkach, dnia 23. Listopada 1845.*

Religia.

O zamiłowaniu Jezusa nadewszystko.

Z Tomasza à Kempis.

Błogosławiony, który rozumie, co to jest kochać Jezusa, i dla Jezusa wzgardzić samym sobą. Dla Tego ulubionego wszystko ulubione opuścić trzeba; albowiem Jezus chce być kochanym sam i nadewszystko. Miłość stworzenia jest niestała i zawodna; miłość Jezusa wytrwała i wierna. Kto się przywiewuje do stworzenia, z upadającym upadnie; a kto przylgnie do Jezusa, na wieki utwierdzone będzie. Tego kochaj i przyjacielem sobie zachowaj, który cię nie odstąpi, chociaż cię wszyscy odstąpią; i który, gdy przyjdzie twój koniec, nie dopuści, ażebyś miał zginąć. Czy chcesz, czy nie chcesz, musisz się kiedyś rozstać ze wszystkiemi. Żyjąc i umierając, trzymaj się Jezusa, i porucz się wierności Jego, bo kiedy cię wszystko odstąpi, on jeden cię wesprze. Twój ukochany jest taki, że nic obcego przypuścić nie chce, lecz sam chce posiadać twoje serce, i jako król królować na własnej stolicy. Gdybyś umiał uwolnić się zupełnie od wszelkiego stworzenia, Jezus chętnieby

zamieszkał w tobie. Wszystko niemal utracisz, w czem tylko na ludziach, a nie na Jezusie polegać będziesz. Nie opieraj się na trzcinie, chwiejąc się od wiatru, bo wszelkie ciało jako trawa więdnije, i wszelka chwała jego opada jako kwiat polny.

Prędko się zawiedziesz, jeżeli tylko na powierzchowność ludzką zważać będziesz. Jeśli bowiem szukasz u drugich pocieszenia i korzyści, najczęściej znajdziesz zawód i szkodę. Jeśli we wszystkiem szukasz Jezusa, nie mylnie znajdziesz Jezusa. Jeśli zaś szukasz samego siebie, znajdziesz siebie, ale na zgubę twoją. Albowiem człowiek, który nie szuka Jezusa, szkodliwszym sobie się staje, niżli wszyscy przeciwnicy jego, niżli świat cały.

Niewierność bezsumiennego, stroić się lubiącego parobka Filipa.

(Dalszy ciąg.)

Jeszcze się dobrze nie było rozwiłniało, a Filip już wyjechał do lasa. Z wielkiego pośpiechu nic więcej wziąć nie chciał, prócz kawałka chleba. Nie wrócił aż późno w wieczór. Konie były niby zmęczone, ale im też za to dał dobry obrok. Nazajutrz jeszcze raniiej wy-

jechał i wiele później wrócił do domu. Gospodarz, oglądając konie i wóz, potrząsał głową i ramionami stulał, litując się nad biednymi zwierzętami; w końcu rzekł: „Ej! Filipie, te konie za nadto zgrzane; ty je przepędziłeś; musisz bydłęcia lepiej ochraniać. Ja nie wymagam, żebyś na raz zwiózł drzewo na miejsce.“ — „Sami widzicie,“ rzekł Filip, „miły gospodarzu, że się droga popsuka, drzewo też świeże, ciężkie, a człek też nie chce próżno jechać, bo kiedy się mało włoży, to się i mało przywiezie. Ale jak tylko zobaczycie poustawiane sąźnie, które możecie spieniężyć, to się ucieszycie.“ — Gospodarz: „Wszystkoć to dobrze, mój Filipie, ale konie, konie!“ — Filip: „Jutro pójdzie lżej, spuście się tylko na mnie.“

Trzeciego dnia nieco później wyjechał; ale dokąd? — to zobaczymy. Mądrała powiedział mu, że na królewskim bardzo wiele sąźni stoi bukowego drzewa, któreby łatwo można wywozić. A choć się kilkanaście sąźni weźmie, to król i tak jeszcze dosyć drzewa mieć będzie. Wszak Pan Bóg dla tego każe rość drzewu, aby i ubogi lud miał z tego pożytek. Leśniczy prawda jest pilny, akuraty, i nie umie żartować, ale tą razą nie trzeba się obawiać, bo będzie polowanie, na którym i leśniczy znajdować się musi. Wszystko to trafiło do przekonania Filipa. Obydwaj tedy oszucili przyrzekli sobie wzajemną pomoc: ten furmanką, a tamten ręczną robotą. Nadto Mądrała wynalazł człowieka, który od nich drzewo odbierał i sprzedawał, i już im był znaczną kwotę wręczył.

Pierwszego i drugiego dnia udawała im się dobrze ta kradzież; w niedalekie, lecz bezpieczne miejsce dosyć już nawywozili drzewa. Leśniczy, wracając

nad wieczór z polowania, spostrzegł przy sążniach znaczny ubytek. Przybywszy do domu, opowiedział to śmiałemu młodzieńcowi, co się u niego uczył leśnictwa; ten postanowił wytropić złodzieja.

Pobiegł co prędzej i w znacznej odległości zaczął się w gęstwinie. W godzinę nadjechał Filip z Mądralą po drzewo. Mądrała w prawdzie o parę staj zsiadł z woza, i niby o niczem nie myśląc, szedł bokiem i ukrył się nie daleko w gęstwinie. Filip, obejrzawszy się w okół, położył się na ziemię i przyłożył ucho, i słuchał, czy kto nie idzie lub nie jedzie. Nagle zaczął żałośnie krzyżeć: „ah! ah! ja nieszczęśliwy! mamże tu umrzeć! nie masz tu kogo, coby mnie ratował! ratuj, ratuj, dla Boga, kto słyszy! ah! nagrodzę ci, co tylko zechcesz, tylko ratuj, ratuj!“

Wrzask ten tak brzmiał żałośnie, że ów uczeń już myślał biędz na ratunek; to go tylko wstrzymywało, że Mądrała spokojnie w krzaku siedział, a nie spieszył na ratunek; wnosił więc, że tu musi być jaka zdrada; wstrzymał się przeto i czekał, co to dalej będzie.

Nagle zerwał się parobek, czarno na twarzy pomalowany, uszykował drabie; przypadł też i Mądrała i z pośpiechem kładli szczepy na furę, powtarzając: prędko! prędko!

Gdy już należycie nakładli, ruszył Filip z miejsca i jechał po woli. Teraz ów młodzieniec na głos wołać zaczął: „stój, szelmo! bo ci idziem na pomoc! zabiegaj łotrom, złodziejom!“ Na złodzieju czapka gore. Filip z Mądralą, zostawiwszy wszystko, uciekli, a uczeń przyprowadził konie z drzewem do leśniczego. Ten dopytywał się, czyjeby były konie; ludzie poznali, że gburą Małomskiego z Napola. Ucieszony

leśniczy tym wypadkiem, kazał zgłódniałe konie zaprowadzić do stajni i dać im obrok.

Podejrzenie.

W domu Małomskiego zaczęto się mocno kłopotać. Już była godzina ósma, dziewiąta, a parobek nie wraca. Sam gospodarz wychodzi raz, drugi i trzeci, czy też nie usłyszy tętnienia koni, lub turkotania woza; nie, nie nie słychać; woła, nikt się nie odzywa. Cóż mu się stało? musiało go nieszczęście jakie napotkać! tak wyrzekał, nareszcie się położył, ale nie mógł zasnąć, wstał znowu i znowu się położył.

Nazajutrz raniutko udał się do Mylamskiego, gdzie parobek miał składać drzewo; tam nie znalazł. Mylamski ani drzewa, ani parobka nie widział; poszedł do lasu, a tam drzewo nie naruszone stoi. Dopytuje się, czy kto Filipa nie widział; nie, nie może się dowiedzieć. Teraz dopiero poznał, że parobek szelma; zakłopotał się, bo już i nie dowierzał, czy mu z końmi nie uciekł; „ale!“ mówił do siebie, „może go niewinnie posądzam — kto ma szkodę, ma i grzech.“

Trójka, czyli trzech lotrów.

Sąd nakazał śledzić złodziei drzewa; nie długo szukano, znaleziono zapijających w karczmie Filipa, Mądrałę i Odbierajskiego, co kradzione odprzedawał drzewo. Dobrze byli podbili. Zandarmy uważali, iż nie wypada tej trójki rozdzielać, wzięto tedy wszystkich trzech.

Przy inkwizycyi tak Filip jak i Mądrała za urazę to sobie poczytywali, gdy im sędzia wspominał o kradzieży, i pierwszego złodziejem, a drugiego pomocnikiem złodzieja nazwał. Uważali to za pokrzywdzenie; „drzewo,“ rzekli, „rośnie dla wszystkich; każdy ma prawo do

niego; to jest defraudacya drzewa, a nie złodziejstwo. My nawet od leśniczego słyszeliśmy, że brać drzewo nie jest grzechem. Kto zostanie złapany, musi karę zapłacić, i to słusznie, bo dla czego dał się złapać. Kogo zaś nie złapią, ten czystym sumieniem może drzewo sprzedać lub sam spotrzebować.“

Niestety! podobne bezsumienne mowy często się dają słyszeć! Są ludzie, nawet majętni, którzy sobie nie robią z kradzieży drzewa. Bez trwogi i zgryzoty sumienia ścinają w obcym lesie najpiękniejsze drzewa. Powoli przygłuszają sumienie, bezczelnie biorą, co im się uda. Lecz jakże, czy drzewo nie jest tak, jak każda inna rzecz, własnością, należącą do właściciela? Czyż wzięcie cudzej własności nie jest złodziejstwem? Mogęż ja z cudzej łąki i pola brać siano i zboże, dla tego, że to samo rośnie? Mogęż rwać owoc w cudzym sadzie, któremu także właściciel wzrostu nie daje, lecz Pan Bóg? a nie jestże las to samo, co pola i łąki? a drzewo toż samo, co siano i zboże? czyż dziedzic nie miałby corocznego pożytku z tej roli, na której mu drzewo rośnie? nie jestże toż samo, gdy mu się krzywda robi, czy w lesie, czy w domu?

Drugim punktem inkwizycyi było pytanie, na jakim fundamencie, bez wiedzy gospodarza, użył koni i woza do złodziejstwa? Na to Filip odpowiedział: „przecież mój gospodarz nie może się różnić od drugich, którzy nieraz swojej czeladzi pozwalają wołów lub koni na pare dni; ani też gospodarz potrzebuje zawsze wiedzieć, co i jak czeladnik robi w sprzężaji; czy mu się i wiele udało wywieść z lasu; — czasem nawet sam gospodarz dopomaga.“

Sędzia, nie zważając wcale na te ich

tłumaczenia i wybiegi, kazał wszystkich trzech odprowadzić do więzienia. Naza-jutrz odprowadził w tej mierze z kolegami sessyą. Po naradzeniu się wspólnem, wyrokował: Odbierajskiego, jako współnika, który drzewo skradzione sprzedawał, na znaczną karę pieniężną. Chałupnika Mądralę na 14 dni do więzienia, a Filipa na 15 batów. Nadto dwaj ostatni zostali skazani na zapłacenie skradzionego drzewa do kassy leśnej. Teraz, gdy Filip odbierał baty od woźnego, zapewne szczerzej krzyczał: „ah, ah! ja nieszczęśliwy! zmiłuj się!” niż w lesie, gdy się na ziemi położył. — Małomowski tyle nieprzyjemności, zmartwień i kosztów ponoszący dla swego parobka, już go był syt; dla tego, gdy wrócił i wszedł do izby, zaraz mu te same drzwi pokazał, któremi wszedł, aby niemi wyszedł, bo go wcale w służbie mieć nie chciał i wolał się tymczasowo najemnikiem obywać.

Filip zostaje samowładnym panem.

Odprawiony ze służby Filip postanowił żyć samowolnie. Niedaleko Napolą zakładano nową osadę. Już kilka domów wybudowano. Miał ci on po babce dwieście złotych, a wiazarku od chrześnych sto pięćdziesiąt, ale już z tego częścią przepił, częścią przez swoje nieszczęsne sprawki dwieście złotych stracił, zostało mu tylko sto pięćdziesiąt, które każdego czasu mógł odebrać. Oglądał się tedy za żoną, którą mu w posagu pieniędzy przyniosła. Wtém nie wiele miał zachodu, bo mu już dawniej Mądrala był

obiecał swoje córkę, Jagnę, z posagiem sto złotych, byleby przyszedł do jakiej takiej posiadłości. Przypomniawszy tedy chałupnikowi dawną obietnicę. Ojciec i córka chętnie zezwolili i wspólnie kupiono domek w tej osadzie za dwieście złotych, w którym spodziewał się Filip żyć tak szczęśliwie, jak Adam w raju.

Tymczasem omyliła ich trochę nadzieja; ów raj miał swoje gorycze. Filip był zwyczajny dobrego jadła i picia. Zawsze mu się roilo w głowie o makaronie w smalcu i wieprzowej pieczeni, a Jagna garnek od smalcu zawsze miała próżny i rzeźnik na bóg nie chciał dać wieprzowiny. Filip najmował się do rąbania drzewa, lecz, że nie miał dobrze zastawionego stołu, opadał na siłach. Rzekł tedy razu jednego do żony: „daj mi też posilniejszej strawy, bo już w moich gnatach mocy nie czuję.” — „Daj tylko pieniędzy,” odpowiedziała żona, „to ci i codzień dostawię pieczeni.” Teraz sobie wspomniawszy na dawniejsze życie, i życzył sobie nieraz tego, czém dawniej pogardzał. Jak dawniej, tak i teraz nie lubił pracy; robił, gdy musiał. Przedtém, choć się wałęsał, bałamucił, i nic nie robił, gdy przyszedł obiad, to się najadł; teraz, gdy nie robił, to i jeść nie było co; słowem, w jego domu coraz to większa była bieda, tak dalece, że często oboje nie wiedzieli, co i z kąd mają wziąć do jadła.

(Dokończenie nastąpi.)

Doniesienie literackie.

W składzie S. Landsbergera w Gliwicach co tylko wyszły następujące dzieła i są po wszystkich księgarniach (w Lesznie i Gnieźnie u E. Günthera) w zapasie:

Jais: Nauki i Modlitwy dla dzieci i dorosłych. Wydanie drugie. Cena: 2½ sgr.
Kalendarz katolicki na rok Pański 1846. Cena: 6 sgr. 6 fen.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. — (Redaktor: X. T. Borowicz.)